

*Jadwiga Mizińska*  
*Stefan Symotiuk*

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej  
w Lublinie

Maria Curie-Skłodowska University  
in Lublin

## PRZEDSPOŁECZNA I SPOŁECZNA PRZESTRZEŃ WIDZIALNOŚCI I INWIGILACJI

### Pre-Social and Social Space of Visibility and Surveillance

**Słowa kluczowe:** inwigilacja, widzialność, podglądanie, jawność, niejawnosć, intymność, celebryta.

**Key words:** surveillance, visibility, observation, transparency, confidentiality, privacy, celebrity.

#### Streszczenie

Pretekstem do naszego dwugłosu jest lektura książki Zygmunta Baumana i Davida Lyona pt. *Płynna inwigilacja. Rozmowy* (Warszawa 2013). Obaj wybitni socjologowie w powszechnej inwigilacji dostrzegają wielkie zagrożenie dla ludzkiej wolności (głównie politycznej i ekonomicznej). Tę katastroficzną wizję staramy się złagodzić, wskazując na biologiczne, psychologiczne i kulturowe funkcje zjawiska „podglądania”. Bronimy tezy, iż społeczne istnienie polega w gruncie rzeczy na tym, by „widzieć – i być widzianym”.

Pierwsza wypowiedź (autorstwa Stefana Symotiuka) koncentruje się na zjawisku „podglądania” występującym w samej przyrodzie, a służącym głównie celom reprodukcji gatunkowej. Ponadto, wbrew obiegowemu stanowisku, to nie tylko człowiek postrzega swoje środowisko naturalne, ale też i ono „patrzy” na niego. Właśnie dzięki tej wzajemnej widzialności możliwe jest przetrwanie człowieka, jak również ludzkie działania zmierzające do przekształcania otoczenia.

#### Abstract

The pretext for our double concord is a reading of the book: Zygmunt Bauman, David Lyon, *Płynna inwigilacja. Rozmowy* (*Continuous surveillance. Little talks*) of 2013. Both eminent sociologists, see a great threat to human freedom (mainly political and economic) in general surveillance. The authors of the article are trying to alleviate this catastrophic visions by pointing to the biological, psychological and cultural features of the phenomenon of “spying”. They defend the thesis that social existence actually consists in the aspect “to see and to be seen”.

The first statement (S. Symotiuk) focuses on the phenomenon of “voyeurism”, occurring in nature itself and serving mainly for the reproduction of species. In addition, against the prevalent opinion, not only a person perceives their environment, but also it “looks” at him. It is thanks to this mutual visibility, that human survival, as well as human efforts to transform the environment, are possible.

Wypowiedź druga (autorstwa Jadwigi Mizińskiej) dotyczy kwestii wzajemnego postrzegania się ludzi. Patrzenie na siebie przybiera wiele rozmaitych form: przyglądania, doglądania, wyglądania, zaglądania itp. Wszystkie one są wartościowane pozytywnie jako niezbędne dla poznania. Na ich tle podglądanie (inwigilacja) to jedyna forma naganna z tego względu, że dokonywane jest z nieprzyjazną intencją – nieufności, podejrzliwości, założenia, iż jego obiekt nam zagraża. Jednocześnie obecna kultura masowa chętnie posługuje się tym środkiem, nierzadko za milczącym przyzwoleniem jej obiektów (idoli i celebrytów). W sumie autorzy zmierzają do wykazania niejednoznaczności zjawiska inwigilacji.

The second statement (Jadwiga Mizińska) concerns the mutual perceptions of people. Looking at each other takes many different forms: of watching, tending, looking out, peek, etc. All of them are evaluated positively as necessary for cognition. On this background, snooping (surveillance) is the only reprehensible form, for this reason, that it is made of hostile intent – distrust, suspicion, assumption that the object threatens us. At the same time the current mass culture willingly uses this measure, often for the silent acquiescence of its objects (idols and celebrities).

To sum up, the authors seek to demonstrate the ambiguity of the phenomenon of surveillance.

## Wstęp

Pierwsze kilkunastolecie XXI w. zaznacza się eksplozowaniem światowej miary „afery podsłuchowych”, zdających się być samorealizującym się proroctwem takich „czarnych utopii”, jak *Rok 1984* Orwella czy *My* Zamiatina. Szczególnie tekst Zamiatina – będący refutacją powieści Czernyszewskiego *Co robić* – zasługuje na uwagę. Czernyszewski – pod wpływem Światowej Wystawy w Londynie w połowie XIX w., a szczególnie prezentowanego tam Kryształowego Pałacu – ukazał likwidację prywatności i życia jednostkowego w przezroczystych domach ludzi przyszłej cywilizacji (słynnych też w Polsce – ale pozytywnie – jako „szklane domy” z *Ludzi bezdomnych* Stefana Żeromskiego). Warto zauważyć, że pierwsza utopia „szklanych domów” pojawia się w finale Apokalipsy św. Jana, gdzie ludzie nie znajdują swojego pośmiertnego życia w „rajskim Ogrodzie”, który kiedyś opuścili, ale w Mieście idealnym, oświetlonym sztucznym światłem „podobnym do kamienia drogiego, jakby do jaspisu o przejrzystości kryształu”, „a Miasto to czyste złoto do szkła czystego podobne”, zaś „rynek Miasta to czyste złoto jak szkło przezroczyste”<sup>1</sup>.

Obecnie, niby w czarnym serialu, pojawiły się wiadomości o krążącej w kosmosie sieci satelitów rejestrującej przy użyciu superkomputerów przekazy łączności wojskowej (ale i cywilnej, np. telefonii komórkowej). Potem nastąpił przeciek do Internetu olbrzymiego archiwum dyplomacji amerykańskiej, następnie doszły informacje o podsłuchiowaniu najwyższych rangą polityków europejskich przez wywiad USA, a wreszcie „afery” Snowdena – analityka owych instytucji

<sup>1</sup> *Biblia Tysiąclecia*, Pallotinum, Poznań – Warszawa 1980, s. 1415–1416.

szpiegowskich, zbiegłego z USA *via* Chiny do Rosji. Wstrząs wywołany rozmiarami owej inwigilacji skłonił znakomitych socjologów – Zygmunta Baumana i Davida Lyona – do wspólnej próby przemyślenia tego zjawiska i jego oceny<sup>2</sup>.

W poniższym dwugłosie chcemy odnieść się do problemów tej debaty, gdyż zasługuje ona na kontynuację i analizę kulturowo-socjologiczną. Wyróżnimy dwa poziomy teoretyczne: pierwszy to problematyka „pola obserwacji” jako przestrzeni w szeroko pojętej biosferze, świecie różnorodnych istot żywych w ich ewolucji; drugi to problematyka „pola obserwacji” w przestrzeni socjopolitologicznej i kulturowej. Dwugłos niniejszy – będący zachętą do dalszej dyskusji – dotyczy tematu, który wydaje się być istotnym fragmentem „diagnostyki terażniejszości” w dzisiejszej humanistyce (szczególnie w krajach zachodnich).

## I. Napięcia i pola obserwacyjne w przyrodzie oraz w psychologii ludzkiej

(Stefan Symotiuk)

Mała dziewczynka skarży się swojej mamie na równie małego brata: „Mamo, on się na mnie patrzy!”. Nie chodzi tu zapewne o wzrok groźny, szydyczny czy w inny sposób wrogi. Chodzi raczej o wzrok badawczy, prześladawczy, kontrolujący. Taki wzrok „pozbawia wolności”, zniewala.

Schopenhauer przytacza w *Świecie jako woli i wyobrażeniu* relację angielskiego podróżnika, który zaobserwował spotkanie na gałęzi drzewa węża i wiewiórki, przy czym wąż hipnotyzował wzrokiem wiewiórkę, która po krótkiej chwili poczęła wolno, wolno do niego podchodzić, aż w końcu znalazła się tak blisko, że ten pożałował ją jednym rzutem otwartego pyska.

W XVII w. palono na stosach czarownice, które miały samym spojrzeniem rzucać urok na niewinnych ludzi, a palenie jest do pewnego stopnia zabiegiem kulinarnym.

Wzrok będący „superzmysłem” – pozwala bowiem nie tylko identyfikować bodźce, ale także lokalizować ich źródło w przestrzeni – nabiera w ten sposób w kulturze demonicznych aspektów: coś chce wchłonąć... Jeszcze tylko dźwięki mają podobnie demoniczną zdolność: można nimi sparaliżować lub uwieść ofiarę/człowieka. Dźwiękiem fletu może zahipnotyzować węża – jak dzieje się to w Indiach (i tym sposobem pomścić okrucieństwo tegoż wobec wiewiórek).

W obyczajowości świata zwierząt można odnotować dwojaki związek między behawiorem czy nawet anatomią organizmów zwierzęcych a ich zdolnością

---

<sup>2</sup> Z. Bauman, D. Lyon, *Flanna inwigilacja. Rozmowy*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013.

widzenia i patrzenia: od momentu, gdy pojawia się podział płciowy, zwierzęta rejestrują wzrokowo walory fizyczne partnera, by dokonać wyboru maksymalnie efektywnego z punktu widzenia gatunku (owady czynią to też węchem ze znacznych odległości). Aby atrakcyjność tę wzmóc i „wpaść w oko” jej lub jemu, partnerzy przybierają kontrastowe kolory upierzenia lub kształtów (jak ogony pawie, rogi jelenie). Jest to trend rozwoju życia biologicznego sprzeczny z behawiorem związanym z wyróżnieniem się gatunków roślinożernych i drapieżnych. Tu racjonalna jest raczej mimikra, stapianie się wizualne z otoczeniem: pręgi skóry tygrysa upodabniają go do trzciny i trawy sawanny lub dżungli, skóra jeleni ma zatrzeć ich widoczność wśród łąk. Zarówno potencjalni agresorzy, jak i ofiary mają powody do możliwie niekontrastowego ubarwienia i kształtów. Ciekawe, że te ptaki, które nie mają wrogów wśród drapieżców naziemnych (papugi czy kolibry), są olśniewająco ubarwione. Świadczy to o zdolności ewolucji do kreacji „artystycznych”, gdy nie zagraża to ich bezpieczeństwu. Zdolności te możemy dostrzec już w świecie roślin: czy nie tworzą one kolorowych i wyrafinowanych kwiatów, by zwabić owady zdolne do ich zapylenia? Czy nie kreują kolorowych owoców, aby te zwierzęta, które zjedzą je dla koloru i słodkiego miąższu, rozniosły daleko zawarte w głębi pestki? Podobnie intencjonalne jest tworzenie kolców czy parzących substancji (jak u pokrzywy) odpierających napór zwierząt. Ale często kontury ciał mają też spełniać rolę odstraszącą napastników. Szereg ryb o całkiem pokojowych trybie życia ma kształty dość przerażające. W zasadzie każde zwierzę w momencie konfrontacji potrafi stroszyć pióra czy sierść, przybierać pozę ataku oraz „mierzyć” przeciwnika wzrokiem, aby odebrać mu ochotę do agresji.

Można zapytać: jak odbywa się percepcja percepcji jednej z istot żywych w psychice drugiego? Można sądzić, że istnieje *ogólne* nastawienie na *widzenia* w świecie „powszechnej zdolności do widzenia” jako właściwości wszelkich przedmiotów, zarówno fizycznych, jak i organicznych. Wątpliwe, aby zwierzę poruszające się wśród drapieżników miało czas na odróżnianie obiektów widzących go i niewidzących. Zdefiniowanie jakiejś rzeczy jako „niewidomej” byłoby może uspokajające, ale w przypadku błędu kończyłoby się zagładą pomyłkowicza. Bardziej racjonalne jest aprioryczne postrzeganie każdej rzeczy jako „widzącej” lub takiej, „spoza której” coś nas widzi. Nawet gdy ryba widzi pod sobą piasek dna zbiornika, nie powinna ufać jego pustce, gdyż szereg drapieżców zagrzebuje się w piasku i stamtąd czyha na przepływającą ofiarę. Nieustająca napięta czujność – oto gwarancja przetrwania; a *założenie* zakodowane w aparacie zmysłowym zwierząt zmusza je raczej do przyjmowania, że OBSERWATOR tkwi wszędzie, w każdym charakterystycznym czy niepozornym miejscu przebywania istot żywych. Stąd też niesamowite wrażenie pustych i milczących przestrzeni: są one jakby „nabrzmiałe” intencjonalnością, wrogo lub lekko powstrzymywaną od ekspresji.

Stałe poczucie *bycia widzianym*, jako stan sprzyjający ostrożności i przetrwaniu, to poniekąd karykaturalna egzemplifikacja słynnej formuły Berkeleya: „być to być widzianym”. Coś widzianego daje się uniknąć i o tyle jest bezpieczniejsze, o ile spostrzeżone może łatwiej stać się naszym łupem niż niepostrzegane. Coś, co nas postrzega, trudniej stanie się łupem. My, jako postrzegani, możemy wprawdzie ulec zagładzie, ale też stać się partnerem seksualnym i rozmnożyć się dalece ponad nasze trwanie jednostkowe. Toteż mamy widoczną u ludzi potrzebę ostentacyjnego demonstrowania swojej obecności, zwracania na siebie uwagi, skupiania na sobie świadomości otoczenia, widoczną już w aktywności ruchowej małych dzieci i w ich krzykliwości. Gdy ludzie dojrzałsi stają się bardziej wyciszeni, to wystarczy, aby hamulce te zniósł np. alkohol, a wtedy potrzeba „stania w centrum uwagi” wychodzi na jaw. Ciekawe zresztą, że nawet u celebrytów, jednostek niejako zawodowo manifestujących swoją obecność i ekspresję, występuje prawie zawsze trema jako tajemniczy stan lęku bycia widzianym. Można w tym odkryć pierwotne ambiwalencje życia biologicznego z wczesnych jego stadiów. Mimo to większość nie martwi się zbytnio, że polują na nich paparazzi, aby zdobyć zdjęcie do tabloidów. Być to być widzianym.

Można zapytać: czy obecna w nas samoświadomość to ta sama świadomość ekstraspekcyjna, tyle że zdolna postrzegać też treści „odchodzące w przeszłość” i „gasnące” zdarzenia i obrazy poznawcze, podległe płynności czasowej lub przedstawiające się jako „napływające” z przyszłości; a zatem: czy introspekcja to tylko odmiana ekstraspekcji i ekstrawersji, czy może są dwie dialogujące świadomości generowane przez dwie odmiennie uposażone półkule mózgowe (prawą, erudycyjną, bo związaną z lewą stroną ciała wyspecjalizowaną w trzymaniu rzeczy, gdy prawa strona ciała jest czynna i operująca, a związana z nią lewa półkula mózgowa sprawna jest w myśleniu, fantazji, słownictwie). Byłaby zatem samoświadomość i samowiedza spotkaniem dwóch różnych „ja”: biernego i czynnego (*vita contemplativa* i *vita activa*) i taka byłaby geneza zdarzających się patologii „rozdwójnienia jaźni”.

Skłaniałbym się jednak do trzeciej hipotezy: iż to bezustannie czynne w nas przeświadczenie, że „świat patrzy” na nas zbiorowo, a my nań „pojedynczo”, powoduje wzajemne widzenie się czegoś i jakiejś treści w psychice, a do tego istnieje tu dysproporcja w rozmiarach tych bytów widzących: to, że jesteśmy *widziani* znacząco dominuje nad tym, że sami patrzymy i widzimy. Asymetria obydwu świadomości w swoisty sposób *kolektywizuje* nas wobec świata rzeczy, a nie tylko ludzi. Sprawia, że mamy coś określanego jako „superego” czy też „nad-ja”, co kontroluje nasze „ego” (przynajmniej wedle psychoanalizy). Badacze podstawowych procedur poznawczych w naszej psychice, np. polegających na postrzeganiu analogii, podobieństwa i metaforyczności „protojęzyka”, jakim myślimy, zauważają, że analogie te najczęściej nie są „równorzędne”, nie dają się obrócić symetrycznie w przyjętych elementach analogiczności. Metafora

autorstwa surrealisty Goimeza de la Sery: „palma – grzebień wiatru” jest bardzo poetycka i atrakcyjna, ale nie można jej odwrócić i powiedzieć: „grzebień – palma włosów”, bowiem to palma, „czesząc wiatr”, demonstruje nam wielki spektakl „psychologii rzeczy”, a nasze czesanie włosów w żaden sposób nie może równać się z monumentalną sceną świata, gdzie tkwi palma (i obecnymi w nim przekazami). Nasze myślenie jest w związku z tym *kierunkowe*, a odwracać myśl – jak Kopernik – jest niebywale trudno. Pochodną tego stanu rzeczy jest to, że większość ludzi jest religijna na zasadzie *panteistycznej* – widzi boskość w samym świecie, a nie teistyczna – widząca Boga *poza* światem. To nie rzeczy dominują nad naszym niewielkim ciałem, to domniemana obecna w nich świadomość, widzenie, obserwacja dominuje nad „małym” widzeniem naszych oczu i zmysłów.

Powszechna inwigilacja jest zatem czymś fundamentalnym dla kształtowania się psychologii ewolucyjnej istot żywych, w tym ludzkiej, a jednocześnie jej ambiwalentny charakter czyni *zmiennym* historycznie stopień jej wyczuwania jako zagrożenia i ograniczenia wolności. Kiedy niedawno pytałem grupę studentów prywatnej uczelni w Kielcach, czy pogodziliby się z faktem, gdyby całe miasto pokryte zostało siecią kamer dających ochronę przed przestępcami, bezpieczna większość była za takim – przerażającym dla Orwella – stanem rzeczy. Jak widać, dla tego pokolenia bezpieczeństwo jest ważniejsze niż prywatność czy intymność.

Wśród europejskich antyutopii specjalne miejsce zajęły – wspomniane już – dwa dzieła: *Rok 1984* Orwella i *My Zamiatina*. Stanowią one krytykę oświeceniowej apoteozy *jawności* (transparentności) wszystkich spraw społecznych. Przyjmowano, że człowiek uczciwy nie ma czego ukrywać przed innymi, podobnie polityk czy handlowiec, i jest to nawet miarą jego uczciwości. Tylko przestępcom lub władzy przestępczej może zależeć na *tajności*. Orwell i Zamiatin podnieśli jednak kwestię *prywatności*, która chce niejawności, by czuć wolność. Dotyczy to np. kwestii płciowości jednostek – nagość, która jest sygnałem i prowokacją pożądaniową, winna być dozowana i adresowana do określonych osób. Fakt, że w sypialni i łazience miałyby ktokolwiek nas obserwować, łamie tę wolność. Jakoż w cywilizacji wielu społeczeństw orientalnych, ale i wśród ziemian w Europie, mieszkania z „gineceum” – izolowaną częścią dla kobiet – były normą. Prywatność znaczy tu, że chcemy, aby pewne nasze relacje z innymi odbywały się *wyłącznie* między nami, bez świadków, widzów, komentatorów itp. Właściwie dopiero czasy nowożytne, z ich wzrostem demograficznym, przeludnieniem, a także długimi miesiącami zimowymi (półrocznymi), których nie sposób było spędzać poza mieszkaniem, spowodowały złamanie reguły „gineceum”, wprowadzając elementy zwane przez etologów badających zwierzęta „bagnem behawioralnym”. Ale i polityka państw, wprowadzająca wielość tajnych służb inwigilujących profilaktycznie obywateli, zdemonizowała kwestie inwigilacji. Na

antypodach tych tajnych służb stanęły siły szpiegujące obce podmioty polityczne, zaś „spiski” dodały ich obecności złowieszczej mocy.

Jest kwestią pewnego kulturowo-społecznego kompromisu, iż „niejawność” w kulturze i „jawność” stały się stopniowalne. Choć nagość – będąca w świecie roślin i zwierząt pewną oczywistością – w świecie ludzkich kultur rozwiniętych otoczona była ostracyzmem, to w różnych epokach np. odkryte włosy były dozwolone dla dziewcząt, ale nie dla kobiet zamężnych, śmiałe odsłanianie części piersi bywało dopuszczalne dla kobiet klas wyższych, ale nie niższych, podobnie prawo do zakładania „prześwitujących” sukien przysługiwało np. kobietom lekkich obyczajów, ale nie statecznym matronom. Epoka oświecenia wprowadziła takie stroje do powszechniejszego użycia w różnych środowiskach, a dopiero Europa po pierwszej wojnie światowej pogodziła się z sukienkami sięgającym do kolan. To zatem co „prywatne” ma charakter zmienny historycznie np. w środowiskach mieszczańskich, ale nie wiejskich (wspomnijmy też stopniowo coraz skąpsze kostiumy kąpielowe, podobnie jak przyzwolenie na istnienie malarstwa „roznegliżowanego”, media zrazu nieśmiało, a dziś już bez żadnych hamulców publikujące „goliznę”).

Stopniowe odsłanianie „prywatności ciała” nie czyni go jednak czymś całkowicie *legalnym* dla zewnętrznych obserwatorów. Ktoś, kto w trakcie balu podszedłby do jakiejś kobiety i uporczywie i dokładnie oglądał jej ciało z niewielkiej odległości, zostałby uznany za bezczelnego intruza, psychicznego dewianta lub osobnika „szukającego zwady” z partnerem tej kobiety. Jest oznaką dobrego wychowania „nieostrzeganie” śmiałych odsłonień ciała, mimo że te wprowadzone są właśnie po to, aby zwracały uwagę.

Można zauważyć, że pewne przedmioty mają znaczący komponent „ekspresyjności”, tzw. wyrażania („rażenia”) pewnych stanów i treści quasi-psychicznych. Zadbany domek otoczony kwiatami, czysty, estetyczny różni się znacząco od „poranionego” dziurami, brudnego, zaniedbanego. Nietrudno dostrzec, że okna takiego estetycznego domku, zwykle umieszczone po jednym obok centralnie usytuowanych drzwi, sugerują dwoje oczu patrzących na przybysza. Możemy jednak zobaczyć też budynek obdarzony boczną ścianą, zwaną niekiedy „ślepą”, która demonstruje sobą niezdolność, niedyspozycyjność do obserwowania nas, jakby celowo sporządzona tak, aby *ignorować* tego, kto przy niej stoi. Nie jest to jednak zwyczajny *brak*. Tak zaprojektowany dom wyraża nierzadko zamierzone „niepatrzenie” w danym kierunku, np. w stronę zabudowań nieprzyjaznego sąsiada. Istnieje bowiem „otwartość” rzeczy „na” i „dla”. Okno z firanką otwarte jest na przestrzeń ulicy, ale zamknięte dla obecnych tam przechodniów: nie są w stanie wejść do środka pomieszczenia. Ale okno sklepu czy salonu samochodowego otwarte jest niejako w dwie strony: apeluje wręcz, aby potencjalny klient „zapuścił” wzrok ku umieszczonym za szybą przedmiotom. Wielkie okna katedr gotyckich nie zachęcają do wyglądania ani na zewnątrz, ani do wewnątrz;

mają dostarczać światło wnętrzu świątyni, zgodnie z przypisywanymi w późnym średniowieczu tezami o boskim charakterze światła. Światło to przebija się przez witraże, napełniając się jakby *duchami* niesionymi przez światło. Dwie sugestie kryją się w świetle owych okien: ich kształt przypominający gigantyczne łodzie skierowane dziobami w górę, co sugeruje płynięcie do nieba, ale mocniejszą sugestią jest chyba podobieństwo katedry do gigantycznej klatki na ptaki; klatki takie były ozdobą ówczesnych bogatych domostw. Dziś są uosobieniem złego, mieszczańskiego smaku i gustu. Ale wielka klatka będąca domem Ducha – mogło to być odbierane jako wzniosłe w stylu myślenia tamtej epoki.

Jest istotne, że zdolność wyrażania stanów emocjonalnych, wolitywnych i poznawczych może być demonstrowana *wraz* z obecną przy nich „świadomością” konstruktów informatycznego czy technologicznego albo też bez niej (czy też raczej ze „świadomością wyłączoną”). Wysoka wieża nadawcza radia czy telefonii komórkowej, ożebrowaniem przypominająca szkielet, daje się zobaczyć na wylot, natomiast „ignoruje” obecność obserwatora, zajęta przekazem fal radiowych nie ma zamiaru patrzeć na widzów jej konturów. Z kolei ogromne zbiorniki elewatorów na zboże, pozbawione najmniejszego okienka demonstrują swoją zamkniętością, że pilnują ziarna skrywając go przed wszystkimi wpływami atmosfery i temperatury.

Jest dramatycznym fenomenem rozpowszechnionych w XX w. technik „podglądu”, że są to zazwyczaj „oczy” jakby *wyjęte* z reszty ciała istot będących ich użytkownikami. Różne „pluskwy” szklanych soczewek, miniaturowych mikrofonów, telekamer patrzą *martwym* wzrokiem – ale badawczo i dokładnie – na to, co robimy. Nie mają żadnych osobowych właściwości, niczego nie chcą, nie czują, nie wyrażają. One tylko uosabiają *obserwowanie*, patrzenie (jakby świadomość „niczyja” lub też szpiega, nadzorcy, funkcjonariusza, któremu jesteśmy całkowicie – mimo że jesteśmy ludźmi – *obojętni*). Gdy renesansowy obraz ukazywał „starców” podglądających z ukrycia obfitą cielesność kąpiącej się Zuzanny, to scena ta pełna była psychologicznych niuansów i podtekstów. Podpatrują ci, co już niewiele mogliby dokonać i doznać poprzez *ars amandi*. Podobnie niewiele mogą zrobić osobiście mechaniczne oczy, uszy, czujniki ciepła czy zapachów. Ale to, że nie wiemy, „kto” mógłby dzięki nim i „co” z nami zrobić, jest czymś gorszym od podglądactwa tradycyjnego.

Takie bycie widzianym jest gorsze niż istnienie „anonimowe”. Przyroda stworzyła już bowiem kiedyś istoty, których oczy zbudowane z tysięcy drobnych komórek zajmują poważną część ciała nosiciela – to owady. Wystarczy spojrzeć na muchę, by zobaczyć, że w pewien sposób jest ona „dodatkiem do oczu”. Jest zaś właściwością tego owada, że polewa swoją ofiarę i obiekt spożywania cieczą żołądkową, a gdy owa ciecz „strawi” na zewnątrz potencjalne jadlo, wsysa go dopiero do wnętrza. Inwigilacja współczesna ma w sobie niesamowitość owego „trawienia obiektu” poza organizmem konsumenta. Świat jest tu „wielkim żołąd-



kiem”, tylko trzeba go zaopatrywać z własnego ciała w kwasy przetwarzające pokarm do konsumpcji. Raz jeszcze zatem okazuje się, że patrzenie ma coś wspólnego z konsumpcją. Dotykając obiekt oczyma, smarujemy go substancją żołądkowa, aby móc go strawić. Mawia się czasem: „pożerał ją wzrokiem”, a nawet „rozbierał ją wzrokiem”. Nieprzyjemne, ale może nie we wszystkim mamy w sobie DNA muchy.

Niewykluczone zresztą, że niektórzy z nas chcą doznawać masochistycznie „mocnego patrzenia”. Gwiazdorzy piosenki zdają się całkiem dobrze czuć oglądani przez tysiącoką widownię, „pożerającą ich wzrokiem”. Działa tu jednak inny mechanizm: w tłumie czujemy się zabezpieczeni przed inwigilacją nie tylko dlatego, że obok nas są inni (natrętność obserwatorów musi się na nich rozpraszać), ale też dlatego, że obecność wielu chroni przed agresją – na napaść „obcych” ktoś z tłumu musiałby zareagować i wziąć nas w obronę. Nikt nie poszedłby z przyjemnością sam nocą na cmentarz, ale gdy w noc „święta zmarłych” jest tam tłum, nikogo nie przechodzi najmniejszy dreszcz. Gdyby piosenkarski idol spotkał na pustej ulicy wielbiciela okazującego mu ten sam entuzjazm i uwielbienie jak na ogromnym placu koncertowym, byłby przerażony i zapewne sięgnąłby po komórkę, by wezwać policję.

Powtarzając okrzyk małej dziewczynki, od której zaczęliśmy tę analizę: „Mamo, on na mnie patrzy!”, można orzec, że wyraża się tu dwojaki lęk ludzki (w jakże wczesnym przejawie): przed „spętaniem”, zniewoleniem, uwięzieniem w cudzym polu uwagi (może podobnie jak owad w sieci pajęczej) lub też jakaś forma odczucia skonsumowania, „pożarcia wzrokiem” – będącego odpowiednikiem lęku wielu zwierząt przed byciem zjedzonym przez drapieżnika.

Nie można jednak wykluczyć, że owa dziewczynka w przyszłości zostanie piosenkarką albo celebrytką i podobne lęki zastąpi silnym pragnieniem inwigilacji.

## II. Społeczna przestrzeń widzialności a inwigilacja

*(Jadwiga Mizińska)*

Inwigilacja, czyli tajne podglądanie, podsłuchiwanie, a na tej podstawie składanie donosów na „podejrzaną” osobę do niedawna było czynnością interesującą głównie specjalne służby bezpieczeństwa i wywiadu. Działania tego rodzaju były głęboko utajnione i owiane dwuznaczną aurą. Z jednej strony bowiem było wiadomo, że ktoś takie usługi pełnić musi, z drugiej – osobnik, który się ich podejmował, oceniany był jako naśladowca Judasza, „wydający” niewinnych ludzi, jeśli nie na śmierć, to w każdym razie na poważne przykrości. „Szpieg”, „zdrajca”, „donosiciel” – to określenia jednoznacznie negatywne, wręcz piętnujące, zarezerwowane dla swego rodzaju „wyrzutków”, którzy dla pieniędzy czy innych materialnych korzyści łamią zasady współżycia oparte na zaufaniu i lojalności.

Po zmianie ustroju w Polsce, w tzw. okresie transformacji, doszło do zderzenia dwóch tendencji związanych z „rozliczeniem” osób, które w obalonym reżimie związane były ze służbami bezpieczeństwa werbującymi *tajnych* współpracowników (TW) oraz z tymi, którzy owymi współpracownikami zostali. Ujmując rzecz w wielkim skrócie, Tadeusz Mazowiecki pod hasłem „grubej kreski” proponował abolicję, natomiast liczni prawicowi politycy – radykalne „odtajnienie” poprzez metodyczną „lustrację”. Udowodnienie komuś, iż był tajnym współpracownikiem było równoznaczne z jego całkowitą kompromitacją, a ponadto ukaraniem go – o ile wcześniej tego nie ujawnił – zwolnieniem z zajmowanych funkcji, nałożeniem nań moralnego odium.

Jednakże wkrótce została też potępiona sama „lustracja”, w trakcie której dochodziło do dramatycznych czy wprost tragicznych w skutkach pomyłek. Jeszcze gorsza – i bardziej dalekosiężna – jej konsekwencja to rozniecenie powszechnej podejrzliwości. Począwszy od nagminnego „grzebania w życiorysach”, celowego rzucania oskarżeń, by się pozbyć przeciwnika albo konkurenta politycznego, aż do wybuchu „świadomości węszącej”, polegającej na szukaniu – względnie prokurowaniu – „haków”, na których można by było „powiesić”, czyli unicestwić moralnie, domnianego „donosiciela”.

Bez względu na to, kto w ostatecznym rachunku przyczynił więcej społecznego zła – „donosiciele” czy „donoszący na donosicieli” lustratorzy, cały ten syndrom zjawisk bazował na pewnej ówczesnej oczywistości (związanej być może w opozycyjną działalnością sporej grupy polityków, szczególnie narażonych w PRL-u na aktywność agenturalną): że *inwigilacja* jest nie tylko politycznym, ale nade wszystko *etycznym złem!* Nie przeczyło to zresztą praktyce organizowania przez władze nowego („sprawiedliwego”) ustroju własnych służb zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa obywateli. To co bezwzględnie potępiano u pokonanych, zwycięzcy zmuszeni byli mniej czy bardziej udolnie powielić pod innymi nazwami. Należało zatem przyjąć, że inwigilacja w niesłusznej sprawie jest zła, a inwigilacja w słusznej sprawie (np. obrony demokracji) jest dobra.

Już stąd można było wnosić, iż *tajne służby* są nieodłączne od *jawnego* i względnie spokojnego życia obywateli w państwie. Wciąż jednak konieczne wydawało się przestrzeganie ich *niejawności*, choćby jako warunku skutecznego działania. Nikt jednak nie był w stanie wyobrazić sobie, że wkrótce *inwigilacja* nie tylko zostanie zalegalizowana, ale również sami obywatele będą w niej ochoczo uczestniczyć, sami o sobie dostarczając pożądaną informacji, czyli, w dawnym języku, sami na siebie donosząc odpowiednim instancjom władzy, już nie tylko politycznej, ale i ekonomicznej. W konsumpcyjnym neoliberalizmie tajny współpracownik stał się współpracownikiem jawnym, a inwigilacja odgórna przekształciła się po części w obywatelską spontaniczną autoinwigilację.

Ten zdumiewający fenomen stał się przedmiotem dogłębnej analizy dokonanej w trakcie rozmowy dwóch znamienitych socjologów: Zygmunta Baumana i Daniela Lyona, której owocem stała się książka *Płynna inwigilacja*. Wprawdzie autorzy, koncentrując się na dniu dzisiejszym, nie sięgają do przeszłości (i tradycji) szpiegowania i donosicielstwa, ale – by zrozumieć ilościowy i jakościowy „skok” w tej dziedzinie – warto, jak sądzę, o nich bodaj napomknąć.

Przed wszystkim trzeba sobie uprzytomnić, iż inwigilacja jest nie tylko problemem praktycznym, związanym ze sprawowaniem i utrzymywaniem władzy, usytuowanym na pograniczu polityki, prawa i moralności. Ma ono również aspekt teoretyczny, który można wysłowić w zapożyczonej od Kanta formule: „Jak jest ona możliwa i konieczna?”.

Uwzględnienie tego ostatniego jest niezbędne choćby po to, aby rozwiązać nakreślony wyżej paradoks; ten mianowicie, że radykalni przeciwnicy cudzej, „niesłusznej” inwigilacji, natychmiast po dojściu do władzy rozpoczęli swoją własną, traktowaną jako „słuszną”. Kontekstem teoretycznym, odpowiednim do tego celu, wydaje się być ten, jaki stwarza socjologia wiedzy, która w przeciwieństwie do epistemologii, dociekającej warunków wiedzy *stricte* teoretycznej, użytkowanej w czystym, bezinteresownym poznaniu, zajmuje się wszelkimi odmianami „wiedzy nieczystej”, czyli interesownej.

Znamienne, iż drugim imieniem socjologii wiedzy jest „sztuka podejrzeń”, jaka pojawiła się na przełomie XIX i XX w. za sprawą Karola Marksa, Fryderyka Nietzschego, Zygmunta Freuda, a rozwinięta została przez Maksa Schelera, Karla Mannheim’a i Ludwika Flecka. Początkową jej intencją było wzbudzenie czujności w stosunku do panujących form świadomości społecznej, tych zwłaszcza, które są bezpośrednio związane ze sprawowaniem władzy. Antenaci socjologii wiedzy, a następnie jej klasycy dokonali przy tym swego rodzaju „desakralizacji świadomości”. Od czasów Kartezjusza wszelka świadomość była wszak utożsamiona z rozumnością. *Ego Cogito* z definicji jest w pełni świadome siebie (oraz pojmujące w sposób oczywisty prawdy matematyczne i odróżniające jawę od snu). Po przeprowadzeniu precyzyjnej procedury metodycznego wątplenia – w trakcie której Kartezjusz brał pod uwagę nawet hipotezę Demona Łudziela – wiarygodność myślącej jaźni została obroniona. To co świadomie pomyślane – w zaznaczonej wyżej sferze – uzyskiwało u twórcy *Rozprawy o metodzie* najwyższy certyfikat, zarazem psychologicznej i logicznej oczywistości. Świadomość jest, innymi słowy, sama dla siebie przejrzysta.

Socjopoznawcza sztuka podejrzeń zdawała się na powrót wprowadzać tylnymi drzwiami Złośliwego Demona, którego Descartes, jak sądził, na zawsze wykluczył z myślenia. Pojawił się on więc ponownie, tym razem pod postacią *fałszywej świadomości*. Innym, i bodaj trafniejszym, dla niego mianem wydaje się jednak Marksowska „świadomość opaczna”, pochodząca od wyrażenia „na opak”. Jej istota zasadza się na tym, że podmiot posiadający w swoim ręku za-

razem własność i władzę zawłaszcza też sobie monopol na wiedzę. Działając według reguły *pars pro toto*, podaje do wierzenia wszystkim taką „prawdę”, jaka jest korzystna przede wszystkim dla niego. Innymi słowy: wywłaszczyciele w dobrej wierze sądzą, że ich postrzeganie społecznego świata jest niepodważalne, a przy tym identyczne z tym, jakie powinni mieć wywłaszczeni. Według Marksa, *opaczność* takowej świadomości polega na tym, że interes *partykularnej władzy*, przemycany pod gloszoną przez nią *ideologią*, gwarantuje rządzącym korzyść wyłącznie własną, jednocześnie działając na niekorzyść podwładnych. Demoniczny charakter takiego „przekręcenia” tkwi w tym, iż faktycznie pokrzywdzeni i zniewoleni nie dostrzegają mechanizmu, który deklarując troskę o nich, zarazem ich niszczy w sensie materialnym i duchowym. Fałszywa, opaczna świadomość jest skuteczna dotąd, dopóki pozostaje nierozpoznana. Dzięki swej nieprzezroczystości, niepostrzeżenie wciąga i zatrudnia samych zniewolonych do podtrzymywania i funkcjonowania maszyny zniewolenia. Opaczność takiej „świadomości” wyraża się również w tym, że udając całkowicie racjonalną, w gruncie rzeczy nasycona jest irracjonalnością, wynikającą z interesowności.

Aby się otrząsnąć z tego uzależnienia, należy poznać rzeczywiste źródła napędu, jak też budowę tej „maszyny obłudy” – i to właśnie stara się czynić socjologia wiedzy. W tym celu dąży ona do zidentyfikowania pozapoznawczych momentów świadomości zbiorowej, pełniących rolę swoistej „czapki-niewidki”.

Pierwszą jej regułą staje się więc odmówienie naiwnego zaufania do tego, co się wokół siebie *widzi i słyszy*, a co jest oficjalnie podawane za „jedyną prawdę”. Każdą ideologiczną deklarację podmiotu władzy należy zatem poddać procedurze *radikalnej podejrzliwości* po to, ażeby odsłonić jej interesowne przesłanki. Należy to czynić metodycznie, analizując faktyczny układ partykularnych interesów wynikający z danej społecznej struktury, do czego jest konieczna znajomość historii, ekonomii, socjologii. Z czasem, szczególnie po doświadczeniach totalitaryzmów, które – głosząc porywające hasła (czy to poszerzenia przestrzeni życiowej dla wybranego narodu, czy wręcz szczęścia całej ludzkości) – doprowadziły do masowych zbrodni, podejrzliwość w stosunku *do każdej* władzy, z metody analitycznej przekształciła się w rodzaj odruchu. W czasach Solidarności w Polsce upowszechniło się ponadto pojęcie *manipulacji*, pod którym rozumiano już nie podświadomy, ale zgoła wyrachowany i cyniczny zamiar sterowania myślami i zachowaniem „prostego człowieka”. W sumie podejrzliwość wobec „decydentów”, wzmocniona przeświadczeniem o celowym manipulowaniu przez nich „ludem”, wywołała wielki społeczny ruch, który zdołał doprowadzić do obalenia nie tylko dotychczasowej władzy, ale i w ogóle – ustroju. Euforia zwycięzców nie pozwoliła im zapobiec swoistemu „inflacyjnemu nawisowi” podejrzliwości, która wkrótce zwróciła się przeciwko nim samym.

Wydawać by się mogło, że po rozpoznaniu i uchwyceniu na gorącym uczynku „mściciela świadomości”, zwycięzcy będą już bez przeszkód i na stałe reali-

zować własne hasło „życia w prawdzie”. Niestety, na chwilę wstrzymany mechanizm wkrótce znowu zaczął się obracać. Już na gruncie autentycznej, a nie wyszydzonej „ludowej” demokracji solidarnościowej, zbiorowe My, zaczęło się rozpadać na coraz to mniejsze „my”, postrzegające się nawzajem w charakterze wrogich „wy” czy „oni”. Posługując się rozszyfrowanym kodem, te zmultiplikowane „minipodmioty” poczęły się nagminnie oskarżać o podstępne i niecne zamiary. Podejrzliwość, ujęta wcześniej w jeden nurt, rozlała się teraz niepowstrzymanie i szeroko, przenikając niemal bez reszty społeczną przestrzeń. Z otwartej puszkii Pandory wypełzły już nie tylko potwory inwigilacji, ale i „lustracji”. Namietnie szukano denuncjatorów, posługując się nierzadko metodami... denuncjacji. Skutkiem takiego żywiołowego tępienia „szkodników”, poprzez rzucanie podejrzeń o donosicielstwo, stał się proces niszczenia wszelkich autorytetów, w tym również solidarnościowych.

Podejrzliwość – na gruncie teoretycznym socjologii wiedzy ujęta w ramy metody czy nawet „sztuki” – zaszczerpiona teraz mentalności potocznej, znalazła się poza jakąkolwiek kontrolą. Niby trujący i wszystko rozpuszczający kwas, bez oporów po dziś dzień, przeżera ona społeczną tkanę. Tak oto, niekoniecznie zgodnie z intencją klasyków socjologii wiedzy, trafiła ona „pod strzechy”. W swej populistycznej, mocno zwulgaryzowanej wersji, wyrafinowana „sztuka podejrzeń” przekształciła się w nieokiełznaną, żywiołową, wszechpodejrzliwość. Skutkiem jej umasowienia stał się głęboki upadek zaufania – i to już nie tylko rządzonych do władzy, ale również pojedynczego człowieka do każdego innego człowieka. Jak to ukazują współczesne badania, na skali podejrzliwości i nieufności Polska zajmuje dziś jedno z pierwszych miejsc. Z podziwianego niedawno wzorca powszechnej solidarności, bazującej na spontanicznym zaufaniu i lojalności, staliśmy się „prymusami” niedowierzania i podejrzliwości.

Do liczby mentalnych „straszaków” niszczących międzyludzkie zaufanie (i powodujących spadek „kapitału społecznego”, bez którego niemożliwe jest jakiegokolwiek współdziałanie), obok podejrzliwości i manipulacji, dołączyła ostatnimi czasy inwigilacja. Zdaniem Z. Bauman’a i D. Lyona, dzisiejsze społeczeństwo massmedialne, połączone i „uwikłane” internetową siecią, to już nie staroświecki Panoptikon, w którym nadzorcy śledzą więźniów, lecz Synopticon, gdzie wszyscy podglądają wszystkich. Co więcej, podglądani z ochotą ułatwiają pracę podglądającym, chętnie sami się odsłaniając.

Wszelkie dotychczasowe antyutopie – włącznie z Orwellowskim *Rokiem 1984* oraz *My* Zamiatina – wydają się staroświeckie i naiwne w porównaniu z rzeczywistością Synoptikonu, budowli tak skonstruowanej, że podział na podglądanych i podglądających niemal zupełnie się zaciera. Najczarniejsze przewidywania nie dościsły smolistej barwy rzeczywistego świata, któregośmy doczekali: świata wszechinwigilacji, który jednak, miast budzić trwogę, pod wieloma względami dogadza konsumentom.

Nie podważając prawdziwości opisu i trafności diagnozy dwóch wytrawnych znawców „płynnej inwigilacji w płynnym świecie”, zmierzającej niejako do ujawnienia wszystkiego, co dotąd było *utajnione*, zapytajmy, czy istotnie jest to zło ewidentne. A jeśli nawet tak jest, to na czym ono polega.

Aby to rozważyć, warto wpierv rozbudować słownik związany z *widzeniem*, jako że inwigilacja stanowi tylko jeden jego, choć szczególnie, rodzaj. Widzenie – wzrokowe postrzeganie świata – jest bez wątpienia uprzywilejowanym sposobem ludzkiego poznawania. W kulturze europejskiej zyskało tak wysoką rangę, że *naoczność* traktowana jest jako najbardziej wiarygodne świadectwo prawdy. „Naoczny świadek” w przewodzie sądowym jest wyżej ceniony niż ten, kto tylko z drugiej ręki słyszał o tragicznym wypadku. Podobnie przywoływany wcześniej Kartezjusz, za filozoficzne – i ostateczne – kryterium prawdy przyjął oczywistość (zważmy na „oczy” zawarte w tym pojęciu).

Jeśli inwigilacja, czyli pod-patrywanie, pod-gładanie faktycznie jest dewiacją, znieprawieniem patrzenia i widzenia, to w jakie wartości „dobrego” i wiarygodnego patrzenia i widzenia ona godzi? Bez tych ostatnich niemożliwe jest przecież jakiegokolwiek normalne i sprawne funkcjonowanie ani pojedynczego człowieka, ani zbiorowości. Patrzenie na siebie i widzenie się nawzajem jest czymś tak dalece niezbędnym, że przestrzeń społeczną należałoby właściwie utożsamić z *przestrzenią widzialności*. Ludzie nie tylko chcą, ale muszą widzieć się nawzajem, chociażby po to, aby móc dzięki temu podjąć jakiegokolwiek relacje. Dowodem nie wprost na wagę widzenia jest uznanie za największe nieszczęście – ślepoty.

Słowa „widzenie” i „patrzenie” to zresztą tylko wyjściowe matryce do całej obfitości pochodnych:

- skupionego w-patrywania się i przy-gładania,
- tęsknego wy-patrywania i wy-gładania,
- troskliwego o-patrywanie i uważnego o-glądu,
- metodycznego prze-patrywania i prze-gładania,
- przebiegłego u-patrywania i o-gładania,
- czułego do-gładania i do-patrywania,
- wglądu, który jest rodzajem wnikięcia w samą istotę rzeczy .

W zestawieniu z takim bogactwem pozytywnych znaczeń inwigilacja, będąca synonimem pod-gładania i pod-patrywania, traci nieco na swym demonicznym charakterze, jakkolwiek go nadal zachowuje.

Co zatem sprawia, iż wszystkie wyliczone powyżej formy widzenia i patrzenia uchodzą za potrzebne czy wręcz upragnione, natomiast ostatnia para: pod-gładanie i podpatrywanie owiane są fatalną sławą i złowrogą aurą?

Rozstrzyga o tym, jak sędzę, moment samoświadomości i woli danego podmiotu. Wówczas, gdy człowiek wie, że sam patrzy, i wie, że jest oglądany przez innych, nie tylko nie ma nic przeciwko temu, ale najczęściej bywa z tego powo-

du rad! Co więcej, cierpi, gdy zostaje przeoczony, ominięty obojętnym wzrokiem innych. Nierzadko też z własnej chęci sam wystawia się na widok publiczny, jak w wystąpieniach telewizyjnych, występach artystycznych, konkursach czy rankingach. Wiąże się to z potrzebą porównywania się z innymi, aby na ich tle lepiej poznać samego siebie, uprzytomnić sobie własne miejsce i pozycję. Czasami przyjmuje to śmieszne lub zgoła groteskowe formy, jak w przypadku celebrytów, dla których „bycie oglądanym” stanowi całą rację ich istnienia. Mimowolnie jednak owi celebryci to dowód na potęgę cudzego wzroku, który podtrzymuje nas w istnieniu, gdy sami wątpimy w swoją wartość.

U zwykłego człowieka chęci bycia oglądanym towarzyszy jednakże równie silne pragnienie zachowania wyłącznie dla siebie pewnej sfery, zwanej dawniej domeną prywatności i intymności. Niegdyś ochraniało je obustronne poczucie wstydlivosti, odnoszące się do wybranych okolic własnego ciała czy też do dziedziny erotyzmu i seksualności, jak również wydalania. Dyskrecja dotyczyła ponadto skromności z sensie etycznym, kiedy to dobre uczynki należało utajniać wedle zasady „nie wie lewica, co czyni prawica”. Po to, aby nie dyskredytować ich bezinteresowności.

Współczesna „kultura bezwstydu” nakłania do eksponowania zarówno walorów cielesnych, jak też zalet psychicznych. Przejawia się to zabiegami zmierzającymi do ich publicznej manifestacji, prezentacji, demonstrowania. Samozachwalanie w pewnym sensie jest rodzajem odsłaniania, będącego zachętą do podglądania. Nawet dzisiejsze „cierpienia twórcy” obejmują nie tylko autentyczny wysiłek podczas samego procesu twórczego, ale również te, jakie są skutkiem braku ich rozpowszechniania i popularności.

W tym właśnie punkcie zaciera się cienka granica między dążeniem do bycia *ogładanym*, a byciem *podglądanym*. W pismach brukowych, chociaż nie wyłącznie w takowych, osoby zabiegające o popularność i sławę często dokonują żenującego „samoobnażenia”, ujawniając sprawy dawniej uważane za osobiste, intymne czy wręcz skandaliczne. Podobnie „wynałazek” CV, czyli spisane go życiorysu i dorobku, składanego w charakterze oferty ubiegających się o pracę, nie jest zwykłym przedstawieniem faktów biograficznych, ale *sui generis* autoreklamą. Stare powiedzenie: „jak cię widzą, tak cię piszą” zostało podmienione: „jak sam się opiszesz, tak cię będą postrzegać”. Potwór Inwigilacji nie rozrósłby się do tak olbrzymich rozmiarów, gdyby sami ludzie nie dali mu na to cichego przyzwolenia. Co więcej, gdyby z nim ustawicznie nie paktowali i nie współdziałali, rzucając mu na żer sprawy, jakie w myśl długiej tradycji winny pozostawać głęboko ukryte przed cudzym, niepowołanym wzrokiem.

Odwroćcie biegunów Dyskrecji i Otwartości, poczytanie „przezroczyści” za zaletę związane jest ściśle z procesem *urynkowienia* oraz *utowarowienia* relacji na Społecznym Rynku. Konsument jest nie tylko kupującym, ale również sprzedającym towary i usługi, chce zatem znać ich cenę i rynkową wartość. Musi

też umieć wycenić siebie, by według obowiązującego cennika jak najlepiej sprzedać siebie. Jego idolem staje się dostępność. Innych dla niego oraz jego dla innych. Drugim, bliźniaczym idolem staje się *wygoda*. Z tego względu konsument godzi się i chętnie korzysta z wszelkich „banków danych”, nie mając też oporów przed udostępnianiem im własnych. Co prawda, nie zawsze konsumenci bywają pytani o zgodę na wprowadzenia informacji o nich do banku danych. Niemniej, skoro ktoś decyduje się uczestniczyć w społecznej grze opartej na prawie powszechnego rynku, powinien liczyć się z konsekwencją w postaci „skutków ubocznych”. Jeśli sam nie czuwa nad skutkami swych decyzji, część pretensji powinien skierować pod własnym adresem. W końcu nikt nikomu konsumpcji nie może narzucić siłą czy przymusem...

Synoptikon, w przeciwieństwie do Panoptikonu, nie jest więzieniem, do którego ludzie są wtrącani siłą. Wszechinwigilacja to wspólne dzieło wszystkich marzących o dostępie do wszelkich dóbr i wszelkiej o nich informacji. Jeśli komuś przestaje dogadzać życie w takich warunkach, musi to być kwestią jego własnej decyzji i wysiłku. Przede wszystkim – powiedzenia *veto!* we własnym imieniu. Wystarczy pozbyć się wszelkich kart płatniczych czy kredytowych, zrezygnować z telefonu komórkowego i inny ułatwień, aby zmniejszyć ryzyko nieproszonego podglądu ze strony anonimowych instytucji.

Obrona przed inwazją Wszechinwigilacji jest bowiem możliwa, jednakże pod warunkiem, że – jak piszą autorzy *Płynnej inwigilacji* – przestaniemy marzyć o tym, by zarazem „zjeść ciasteczko i mieć ciasteczko”. Takie marzenie przystoi małemu dziecku, które nie zna jeszcze alternatywy albo-albo. To ono dokonuje naraz „obu wyborów”, co rozczula i bawi dorosłych. To, co u dziecka wydaje się dorosłym rozbudzające, u nich samych jest objawem infantylności i dowodem głupoty.

Dziś już nie ulega wątpliwości, że bycie stuprocentowym i bezrefleksyjnym konsumentem wyklucza bycie osobą autonomiczną. Autonomiczną i wolną także w wyborze sposobu widzenia świata. Konsument w gruncie rzeczy widzi jedynie reklamy i opakowania *towarów*, co mu przesłania świat autentycznych rzeczy. Koncentrując się na obrazie czy też samym *logo* przedmiotu, przeocza on cały obszar realnego świata, który mimo wszystko istnieje. Zastanawiając się, jak odzyskać „oczy do patrzenia”, a „uszy do słyszenia”, warto sobie wyobrazić utopię świata oczyszczonego z reklam, banerów, tabloidów, Internetu oraz wszystkich tych „pośredników”, które bezceremonialnie kierują nasz wzrok na „towary” i „usługi”, jednocześnie odwracając go od autentycznych rzeczy i pozbawiając bezpośredniego do nich stosunku. A już szczególnie – do innych jako *ludzi*, ukrytych za fasadami ról, masek i funkcji. Nachalne reprezentacje, carskie „wioski potiomkinowskie” czy gierkowskie „fasady” zasłaniają nam rzeczywistość realnych przedmiotów i osób.

Gdybyśmy sami nie nakładali podobnych „makijaży”, nie mielibyśmy powodów, by podejrzewać o ich noszenie wszystkich innych. Nie musielibyśmy też



tak bardzo obawiać się inwigilacji. Wszak podglądać można jedynie to, co daje się zaobserwować i zanotować *plaskim* wzrokiem, czyli zewnętrzne zachowania. Człowiek behawioralny sam sprowadza siebie i innych wyłącznie do takowych. Konsument to uosobienie „marzenia behawiorysty”.

Człowiek tradycyjny, pre-konsumpcyjny oraz – miejmy nadzieję – przyszły, post-konsumpcyjny, wyposażony w ciało, psychikę, jak również w *duszę*, nie musi się lękać „wszechinwigilacji”. Najważniejsza dla niego sfera – życie wewnętrzne – ze swej istoty jest niepodglądalne. Oryginalne, własne myślenie jest wszak procesem najgłębiej intymnym i dyskretnym. Można się jego efektami podzielić z innymi, ale tylko na własne życzenie. A już zupełnie nieprzenikliwe dla technicznych urządzeń jest życie duchowe. Jego mistrzowie, mistycy, często wręcz rozpaczają, że mimo największych wysiłków, nie są w stanie adekwatnie oddać słowami swoich niezwykłych przeżyć i doznań, by móc podzielić się nimi z innymi ludźmi. Wszystkim zaś, bez wyjątku, ludziom dostępne jest „życia serca” o wysokim stopniu niepowtarzalności i unikalności. Poeci wszystkich czasów trują się bezskutecznie, by je jak najdokładniej i najsubtelniej wysłowić.

Tak więc do podglądania nadają się jedynie niektóre – bynajmniej nie najważniejsze – atrybuty człowieka: jego zewnętrznie obserwowalne zachowanie oraz wypowiedzi dotyczące mniej lub bardziej szlachetnych zamiarów. Cała ogromna „reszta”: życie umysłu, życie serca, namiętności duszy – bez jego chęci i specjalnych starań – nie są dostępne dla niepowołanych osób. Wystarczy przypomnieć i uruchomić w sobie te przysługujące każdemu człowiekowi dary, aby uczynić z siebie przyczółek niedostępności dla jakiegokolwiek i czyjegokolwiek podglądactwa! Osoby głęboko religijne wierzyły niegdyś, iż – prócz Boga, który widzi każdy uczynek i zna każde drgnienie serca – istnieje ponadto Oko Opatrzności, które obejmuje ich swoim czułym i troskliwym spojrzeniem. Jedno i drugie uznawały za błogosławieństwo. Parodie autentycznych, pełnowymiarowych ludzi – konsumenci – w miejsce Oka Opatrzności wstawiają „szklane” Oko Podejrzliwości. I tworzą mu „okulary” Inwigilacji. Trudno biadać nad nimi, że potem się ich boją i próbują się ukryć. A wystarczyłoby je po prostu aktem własnej woli zbić, strzaskać, wyrzucić z mózgow, gdzie pozwolili sobie zaimplantować te sztuczne, nieprzyjazne twory. W tym celu musieliby jednak przenieść „stolicę” swego człowieczeństwa z pazernego i nienasyconego Brzucha na wyższe piętra. I uruchomić, wybudzić z letargu oczy duszy; te, które otrzymaliśmy jako cudowne narzędzie *wglądu* w istotę, a nie jedynie wygląd rzeczy. Nie budzą zatem mojego współczucia konsumenci przerażeni Synoptikonem. Sami sobie zgotowali taki nędzny los. Co prawda, nie specjalnie, ale za to zgodnie z ich konsumenckim *credo*: „coś za coś”.

\* \* \*

Zapewne czytelnicy zdołali się zorientować, iż autorzy niniejszego dwugłosu używają pojęcia „inwigilacja” w dwóch sensach: obiegowym, gdzie oznacza ono celową, ale podstępą i podejmowaną w nikczemnych intencjach akcję podsłuchiwania i podglądania nieświadomych tego ludzi, oraz w znaczeniu rozszerzonym i przenośnym – jako istniejący w przyrodzie i kulturze mechanizm jednoczesnego demonstrowania i ukrywania pewnych ważnych cech żywego organizmu, jak też podmiotu obdarzonego psychiką. Uprzytamniając istnienie rozmaitych form takowej quasi-inwigilacji, pragnęliśmy, po pierwsze, ukazać, iż „nie ma nic w kulturze, czego by pierwiej nie było w naturze”, po drugie zaś – pomniejszyć lęk przed obecnym rozwojem technik inwigilacyjnych. Albowiem znajomość istoty i funkcji podglądania i podsłuchiwania pozwala na podejmowania kroków w kierunku ich demistyfikacji, jak też przeciwdziałania im tam, gdzie ich działanie jest ewidentnie szkodliwe. Z inwigilacją jest bowiem podobnie jak z manipulacją: jesteśmy jej bezbronnymi ofiarami tylko dopóty, dopóki nie zdajemy sobie z niej sprawy. I jednej, i drugiej ostatecznie jednak nie da się uniknąć.